Rok I. Lwów dnia 15. kwietnia 1894. Numer 2.

Prenumerata kwartalna
we' Lwowie 1 złr.
na prowin. 1 zł. 20 ct.
Numer pojedynczy
we Lwowie 20 kr.
na prowincyi 25 kr.
Numera pojedyncze mają na sprzedaż Księgarnie i biura dzienników.

KRONIKA

społeczna i literacka.

Wychodzi 10-go i 25-go każdego miesiąca.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów
ulica Sykstuska 10.
Drukarnia
Ed. Ostruszki.
Cena ogłoszeń 10 ct. za wiersz petitowy czterołamowy.
Rękopisów redakcya nie zwraca.

Od Administracyi.

Abonament przyjmujemy tylko na jeden kwartał, a to dlatego, że nie zasobni w fundusze tylko w tym wypadku ostać się potrafimy, gdy nas poprą prenumeratą ci, do których się odzywamy.

Nie chcąc zaś nikogo omamić, z góry zapowiadamy istnienie nasze tylko na wypadek tego poparcia. Kwartał o własnych siłach przetrwamy. Prenumeratę kwartalną nadsyłać należy pod adresem „Kronika społeczna“ Lwów, Sykstuska 10.

Dokąd prowadzimy?

Na wszystkich placach, we wszystkich kawiarniach i restauracyach, na każdej niemal szybie kolejowej wypisujemy hasło: p a t r y o t y z m! Dlaczego? Czy pracujemy w imię tego patryotyzmu? czy dążymy do polepszenia doli ludu w imię patryotyzmu? czy łączymy się i skupiamy dążąc za tem hasłem? czy popieramy n a s z przemysł, n a s z e ekonomiczne istnienie i n a s z rozwój w każdej gałęzi jakiegokolwiek bądź zatrudnienia? Nie! nie! nie! i jeszcze raz nie! Używamy patryotyzmu jako parawanu do zasłonięcia naszej nędzy, naszego sobkowstwa i naszych brudów! Z chwilą, kiedy stojąc na wybitnem stanowisku, czujemy pewne wstrząśnienia zagrażające naszej prywatnej egzystencyi, przywołujemy na pomoc p a t r y o t y z m. Z chwilą, kiedy chcemy dojść do stanowiska za pomocą tłumu rękodzielników i innych naiwnych współobywateli, ubieramy się w bajdawery i czamarę i głośno wołamy „N i e c h ż y j e P o l s k a!“ Kiedy artysta wyczerpie wszystkie tematy malarskie, przywołuje „natchnienie“ i „tworzy“ obrazy patryotyczne, żądając, aby je n a r ó d cały w imię patryotyzmu kupował!.. Z chwilą, kiedy cały kraj w nędzy, kiedy przednówek zbliża się z całą okropnością głodu i chorób, urządzamy w y s t a w ę p a t r y o t y c z n ą! Wszędzie patryotyzm! „I t y B o ż e n i e g r z m i s z!?“ powiada Zagłoba. A nie! nietylko nie grzmi, ale się zdaje nie słyszeć i nie widzieć! Owo naciąganie całego ogółu na ten frazes patryotyzmu weszło w Galicyi po prostu w przywarę, zamieniającą święty wyraz obywatelskiego poczucia w ścieżkę, którą karyerowicze ścierają przed sobą śmiecie, aby czystym trzewikiem wejść na drogę wiodącą do stanowiska. Dzisiaj każdy już używa tego słowa jako pośmiewiska mówiąc: „nie mnie brać na patryotyzm!“ Oto, do czego można doprowadzić wyzyskiwaniem egoistycznem najświętszych uczuć. Słowo, na którego dźwięk krew żywszem tętnem w żyłach obiegać powinna, zohydzone zostało nadużyciem i blagą! Karmimy młodszych naszych braci frazesami, przyzwyczajamy ich do fanfaronady i gadania zamiast pracy, wyciągamy ich jak maryonetki, gorzej, bo jak przebrane małpy na komponowane uroczystości, stawiamy we wszystkich pochodach na froncie widocznym — a oburzamy się potem, że ten młodszy brat chce siadać z nami przy jednym stole, chce posłować i frazesować razem z nami!

Urządzamy obchody patryotyczne, nie dla nauki, nie dla podniesienia ducha, nie dla wzmocnienia uczucia drgającego w nas na każdą myśl o Ojczyźnie — urządzamy je dla tego, aby ten i ów napisał broszurę, ten i ów przemówił, aby

dzienniki prześcigały się w okazaniu swoich historycznych wiadomości, wołamy, krzyczymy, dzwonimy na gwałt i doprowadzamy... do excesów ulicznych, do wybijania szyb i rabunków w dniach, które dla każdego Polaka święte być powinny! Tak jest, doprowadzamy do tego sami, my, którzy w egoizmie naszym mianujemy się prowodyrami narodu i stróżami patryotycznego „Zniczu".

Sami używamy patryotyzmu jako blagi, więc też nic dziwnego, że szczerych uczuć nie możemy wlać w tych, których nie oblagowywać lecz uczyć powinniśmy i sami tą blagą, polującą tylko na reklamę lub dobrą posadę, wytwarzamy tłum, fałszywe mający pojęcie o patryotyzmie, nie umiejący tego uczucia szanować. Ten tłum tyle razy zbałamucony przez nas i wyzyskany dla nas, rozgrzawszy się słowem lub napojem, nie ujęty w karby karności i nie poprowadzony z całą świadomością, rzuci się na nas samych depcząc wszelkie, wmawiane w niego tylko uczucia patryotyczne. Chcemy, by tłumy wydały ze siebie wielki, potężny a szczery okrzyk „Ojczyznę naszą racz nam wrócić Panie!", a nie chcemy pojąć, że tego żądamy za wcześnie — a za późno tego go uczymy. I źle uczymy, fałszywie, egoistycznie. W taki sposób nie poprowadzimy nikogo — a najmniej owego tłumu tam, gdzie jest obowiązek i patryotyzm. Wiek cały minął — i wiek cały minie, zanim przyjdzie pokolenie, które na opoce budować będzie. My nie zbudujemy i nie poprowadzimy, bo nie wiemy dokąd i nie zdajemy sobie z tego sprawy. Może excesa i burdy uliczne w Krakowie pokażą nam inną drogę i inny sposób zaszczepienia w masy tego prawdziwego patryotyzmu, który nie dąży do wybijania szyb i gwałtów i który nie pozwoli się zbałamucić podłym indywiduom dążącym do rozluźnienia owej spójni jednego wspólnego tchnienia. Nie blagujmy w imię patryotyzmu i nie handlujmy patryotyzmem w imię prywatnych interesów, bo takie „domokrąstwo" wydawać będzie zawsze smutne i bolesne rezultaty!

* * *

Polityka drażnienia.

Przebrzmiały ostatnie echa Kościuszkowskiego obchodu, w którym wszystkie stany naszego kraju, szczerze albo z oportunizmu politycznego, tak demonstracyjny wzięły udział. Nie da się zaprzeczyć, że uroczystość Kościuszkowska, w rdzennej swojej treści, po odrzuceniu patryotycznych emblematów, była manifestacyą natury przeważnie społecznej. Było to podniesienie do wyżyn święta narodowego tej chwili, gdy po raz pierwszy w dziejach naszych chłop powołany został do decydowania o losach narodu w zamian za przyznaną mu sumę praw i ulg socyalnych.

Zdawałoby się napozór, że demonstracya tego pokroju w demokratycznem na wskroś społeczeństwie ruskiem znaleźć powinna głęboki oddźwięk, gdy tymczasem stało się wprost inaczej. Kto czytał dzienniki ruskie z kilku ostatnich dni, ten wie, z jaką nietajoną niechęcią, z sarkazmem prawie przyjmowały one każdy objaw Kościuszkowskiego obchodu. Obserwator, który zadowolni się podsumowaniem kilku zewnętrznych rysów i nie zada sobie trudu, aby wejrzeć w rdzeń

„JAGA"

SYLWETKA.

Na chrzcie świętym dano jej imię „Agnieszki." Że ją jednak od dzieciństwa nazywano Jagą, więc dorósłszy, sama nie wiedziała które z tych dwóch imion należy jej się słusznie. Została więc przy krótszem a tem samem wygodniejszem do wymawiania i znano ją pod imieniem Jagi. Tem imieniem wołali na nią chłopcy, z którymi zabawiała się nad rzeką rzucaniem kamieni do wody i na żydów, tem imieniem nazywali ją koledzy i koleżanki a nawet sam pan podmajstrzy, z którym poznała się w czasie, kiedy ukończywszy czternasty rok życia, zgodnie z wolą rodziców, porzuciła zabawę i oddała się produktywnemu zajęciu noszenia wapna przy nowo budujących się domach. Tem samem również imieniem nazywał ją Michał, sążnisty wyrobnik o niedźwiedzich barach, z którym zetknęła się w parę miesięcy później przy robocie, a który odrazu zaimponował jej ogromną siłą, z jaką dźwigał na plecach dużą piramidę cegieł, tak dużą i ciężką, że każdy inny z pomocników murarskich dwa razy wracać musiał, żeby zabrać ciężar który on zabierał od jednego razu. Dzięki swej sile miał wcale niezły zarobek i zwrócił na siebie uwagę Jagi.

Kto on był i zkąd pochodził, nie wiedziano i nie zajmywano się tem wcale. Przed kilku laty zgłosił się był do majstra murarskiego z prośbą o robotę i otrzymał ją bezzwłocznie a od tego czasu cieszył się stałą sympatyą swego pracodawcy i podmajstrzych, którzy umieli cenić w nim potężną siłą roboczą. Mruk był i nie odrywał się nigdy od pracy dla rozmowy z zatrudnionymi przy budowie dziewczętami, jak to robili inni pomocnicy, ale dźwigał a dźwigał, aż do zmroku poczem znikał w którymś z pobliskich szynków i pił. Co prawda pił za dużo.

— Dobry z niego robotnik, mawiał podmajstrzy, jeno że pije jak gąbka. Jeszcze się w nim kiedy wódka zapali do licha ciężkiego. Nie zapaliła się w nim wódka, ale zdarzało się czasami, że pod wpływem trunku robił srogą awanturę z innymi pomocnikami, poczem wysypiał się w szynku albo na strażnicy policyjnej i rano wracał znów do roboty spokojny, trzeźwy, milczący. Po kilku latach zmienił jednak sposób życia a stało się to w parę miesięcy po zjawieniu się Jagi na

rzeczy, zbadać motywa jej i przyczyny, wyszuka z rozpowszechnionego przez pewną część prasy naszej bogatego słownika epitetów, zarzut chociaby moskalofilizmu i rzuci go w odpowiedzi na postawę zajętą przez społeczeństwo ruskie wobec naszych uroczystości Kościuszkowskich.

Nie bądźmy obserwatorami powierzchownymi i zajrzyjmy głębiej. Oto przedewszystkiem weźmy sobie do ręki roczniki któregokolwiek z dzienników galicyjskich, z wyjątkiem może jednego lub dwóch i przestudyujmy, co się tam pisało o kwestyi ruskiej. Esencyę polityczną całego szeregu artykułów, które w formie zarzewia padły w skołatane i jątrzone ciągle społeczeństwo nasze, nazwiemy krótko: polityką drażnienia. Wszystkie możliwe skale i gamy, począwszy od podjazdowych utarczek przeciw drobnym objawom żywotności u Rusinów aż do argumentów tego kalibru, co zaprzeczenie bytu ruskiego narodu, są tam reprezentowane. Upominając się z gorliwością, zupełnie zresztą usprawiedliwioną i chwalebną, o gwałcone prawa rodaków naszych pod zaborami rosyjskim i pruskim, tu, gdzie okruszyna władzy dostała się w polskie ręce, ta sama prasa polska chciałaby w zarodku zabić w społeczeństwie ruskiem to, co jest nieśmiertelnem: pragnienie odrębnej egzystencyi narodowej.

Moglibyśmy przytoczyć tu cały szereg 'owych pism, na szczęście wyłącznie stojących tylko w usługach klas posiadających, gdzie polityka drażnienia od dawna prowadzoną bywa z nieubłaganą zaciętością. Ale któż nie zna tych dzienników, aby je potrzeba było dopiero wydobywać na jaw? Dość będzie zacytować jeden z głównych organów rusinożerczych *Przegląd*, który miał odwagę napiętnować wszystkich działaczy i patryotów ruskich nazwą agitatorów, a istnienie odrębnego narodu ruskiego zaliczyć do iluzyj, wmówionych w ciemnego chłopa. Jakie skutki ten posiew może wydać, łatwo sobie każdy wyobrazi Jednym ze skutków tych jest właśnie abstynencya Rusinów w Kościuszkowskim obchodzie.

Teorya nieistnienia Rusinów jako oddzielnego narodu, która grasowała u nas w latach sześćdziesiątych, dziś na nowo zaczyna wchodzić w modę i pod postacią wstydliwych półsłówek albo jawnie sformułowana (jak w *Przeglądzie*) wydobywa się na szpalty dzienników. Czy wobec takich objawów rozwydrzenia prasy liberalnej i konserwatywnej można się dziwić, że społeczeństwo ruskie unika wszelkich nawet pozorów, któreby ową teoryę potwierdzić mogły, że usuwa się od udziału w Kościuszkowskim obchodzie, ażeby fakt wzięcia udziału w manifestacyi na cześć polskiego bohatera nie został zrozumiany jako dobrowolna aprobata twierdzenia, iż Rusini to tylko cząstka polskiego narodu. Chyba, że nie.

Polityka drażnienia trwa dalej i posiadając silne ekonomiczne pobudki, trwać będzie dopóty, dopóki nie nastąpi gruntowna reparacya naszych stosunków społecznych. My na razie ograniczamy się do przypomnienia obałamuconemu przez burżoazyjną prasę społeczeństwu naszemu, że można być dobrym, szczerze miłującym swój kraj Polakiem, i nie budować tam sztucznych dla płynącego coraz szerszem korytem ruchu narodowego wśród Rusinów, z którymi demokratyczne żywioły nasze szczerze zawsze sympatyzują i w praktyce solidarnie zdążają do spełnienią wspólnych postulatów społecznych.

* *

Reforma wyborcza.

Na jednem z ostatnich posiedzeń Rady państwa przywódzca młodoczechów Gregr tak mówił o Polakach: „Polacy przestraszyli się, że z powodu reformy

---

tej samej budowie, przy której pracował od dłuższego już czasu. Pił wprawdzie mniej jak przedtem, ale za to nie sypiał już ani w szynkowni ani w aresztach, lecz w malutkiej izdebce, w której uścielił sobie gniazdo wspólne z Jagą. Było to jego pierwsze własne mieszkanie, wspaniałe w porównaniu z ciemnymi kątami, w jakich sypiał na garści zbutwiałej słomy, wygodne w porównaniu z twardą ławą szynkowni.

C z y J a g a i M i c h a ł b y l i m a ł ż e ń s t w e m ? W o b e c B o g a i l u d z i — t a k ; w o b e c p r a w a — n i e. Oni sami dobrze nawet nie wiedzieli jak nazwać wzajemny ich stosunek do siebie i w jaki sposób przyszło do porozumienia między nimi. Uczuli wzajemną skłonność do siebie i uczuciu temu nie stawili oporu. Ona pokochała całem sercem tego mrukliwego kolosa, a on zapragnął w końcu zamienić wieczne osamotnienie na życie, któreby miało bodaj pozory życia rodzinnego. Ona oddała się jemu bez względu na ludzi i na rodzinę, która rada była jej się pozbyć jak najprędzej, on przyjął ofiarę jako słusznie mu należną nie mając pojęcia nawet o obowiązkach, jakie tem samem brał na swoje barki. I dobrze im było. Przychodziło im nieraz na myśl, żeby za pośrednictwem kościoła związek ich zrobić legalnym, ale myśl o tem wnet porzucili, bo byłby to akt za kosztowny dla takich jak oni nędzarzy.

Po upływie kilku miesięcy, na jasnem niebie ich szczęścia pokazały się pierwsze chmurki. Michał z całą namiętnością tem gwałtowniej, że poskramianą przez czas dłuższy, wrócił do kieliszka i upijał się teraz codziennie. Nie robił jednak awantur po szynkowniach jeno w domu, nie bijał towarzyszy kieliszkowych lecz żonę, nie łamał krzeseł żydowskich, jak to dawniej miał we zwyczaju, jeno wzburzoną trunkiem krew, uspokajał gruchocąc nędzne sprzęty napełniające ich izdebkę. Swoją drogą po każdej takiej awanturze, skoro wytrzeźwiał, naprawiał o ile mógł, zrobioną szkodę, albo sam, albo przy pomocy znajomego cieśli, któremu wywdzięczał się za to poczęstunkiem składającym się z kilku kieliszków wódki i kawałka śledzia. Żałował zawsze pieniędzy wydawanych na naprawę sprzętów i na poczęstunek, ale nie żałował nigdy żony, która nieraz całymi tygodniami nosiła na ciele znaki od uderzeń jako

wyborczej utracą część mandatów na korzyść Rusinów i pierwiastków bardziej postępowych w kraju, ze szkodą oligarchii arystokratycznej, która rządzi dziś w Galicyi, a która tu zastępuje naród polski.

„Oni umieją zastosować się do każdej sytuacyi byle sobie osobiste zapewnić korzyści. Nie chcę wznawiać przysłowia polskiego, które im w własnych gazetach przypomniano: „Niehonorowo, ale zdrowo". Może być, że takie postępowanie jest polityczne, trudno jednak dopatrzyć się w niem pierwiastku etycznego".

Słowa te znakomicie scharakteryzowały stanowisko zastępców Galicyi w Radzie państwa. Obawa o mandaty, o wszystkie korzyści jakie z posiadania mandatów wynikły — a więc przyczyny czysto osobiste stoją panom z „Koła" na zawadzie — by przyłożyli rękę do reformy. Nikt chętnie sam sobie grobu nie kopie. Niczem więc wszystkie naukowe dowody, że sprawiedliwości stanie się zadość przez powszechne prawo głosowania, niczem wykazywanie, że klasy pozbawione prawa wyboru są właściwymi podstawami ustroju państwowego, że one go utrzymują pieniędzmi płaconymi w formie podatków pośrednich, służbą wojskową, pracą na roli, w fabryce, handlu i przemyśle — to wszystko nic — panowie władzę mają i władzy z rąk nie puszczą.

Prędzej osłu przyznają prawo wyborcze niż człowiekowi. Bo tragarz, gdy ma osła, którym ciężary przewozi — to płaci za niego podatek i za tego osła ma prawo wyboru. Gdy mu osioł padnie, a biedak nie ma pieniędzy na drugiego, schodzi do klasy bezprawnej — bo tylko osioł dawał mu prawo wyborcze.

Walka o prawo wyborcze coraz goręcej się toczy.

Projekt Taaffego zbliżony do sprawiedliwej reformy zrodził koalicyę. Różne elementa zlały się w jedno — a spaja je tylko obawa przed utratą mandatów. I wymyślają projekta różnego rodzaju. Projekta Windischgrätza, Plenera, Bärnreitera chcą tworzyć piątą klasę wyborców — projekta te chcą odczepnego dawać klasom, do tej pory prawa pozbawionym. Ale klasy te nie chcą o tem ani słyszeć — wołają albo wszystko dobrowolnie dacie — albo dać będziecie musieli!

Nie należy brać nam miary z ruchu o prawo wyborcze, jaki się u nas w kraju odbywa. U nas wieśniak wieki trzymany w niewoli, dotychczas po większej części niepiśmienny i w strasznej nędzy żyjący, nie wyrobił w sobie jeszcze poczucia ani potrzeby prawa obywatelskiego — u nas robotnik rolny i przemysłowy w strasznej zależności ekonomicznej żyjący, tylko o poprawie chleba myśli, a nie umie pojąć, że bez ustalenia praw politycznych nie ma możności uzyskania lepszego bytu.

Ale gdzieindziej — w innych prowincyach Austryi inne stosunki i inni ludzie. Tam walka się rozegra niedługo. Czy to będzie strejk generalny, czy inna jaka broń to niedaleka przyszłość okaże. Klasy panujące będą *musiały* dać prawo powszechnego głosowania.

Sprawiedliwości społecznej stanie się zadosyć i to niedługo!

* * *

Rzeź ideałów.

I.

Dumną jest i ciężką atmosfera w krainie poezyi, jakby ciśniona grozą burzy, co ma się nad nią rozpasać. Wszystko zda się oczekiwać czegoś, co wprawdzie jeszcze nie zrozumiałe, nosi w sobie zarody przyszłego życia, co innem jest i odrębnem od

---

pamiątkę jego gwałtowności. Na wyrzuty robione mu przez robotników sąsiadujących z nimi w norach suteren, odpowiadał stale, że mąż ma nietylko prawo ale i obowiązek wybić żonę od czasu do czasu, chociażby ona była najlepszą dla niego i chociażby ją niewiedzieć jak kochał.

— Niby nie bez to, coby moja baba na to mówiąc była zła, ino bez to, coby się nie popsowała — mawiał zawsze.

Jaga wprawdzie czuła, że zastosowywanie takich środków ochronnych ze strony męża jest zupełnie a zupełnie zbytecznem, nie mniej jednak uznawała jego wyższość i z poddaniem się przyjmowała razy, których mąż uważał za stosowne wcale jej nie oszczędzać.

— Chłop je zawdy chłop i musić wi najlepiej co robi, myślała.

Kiedy jej doradzano, żeby go porzuciła i nie marnowała przy nim młodości i zdrowia odpowiadała naiwnie:

— Jakżeby to mogło być? Przecież ja jego kocham.

Ano! Kochała go i to nie jak bądź. Nietylko, że pozwalała się bić bez słowa skargi, ale kiedy on rozpił się na dobre i począł się zaniedbywać w pracy, Jaga pracowała ze zdwojoną gorliwością za siebie i za niego, poczuwając się do obowiązku wyżywienia swego tyrana, który w uznaniu tych zasług odbierał jej zdrowie, okładając pięściami przy każdej niemal sposobności.

Jednak czasy prawdziwego męczeństwa nastały dla niej z chwilą, kiedy Michał po kilkumiesięcznym pobycie w szpitalu, gdzie musiano mu odjąć nogę złamaną wskutek upadku z rusztowania, na które wszedł będąc pijany, wrócił z tamtąd bezsilnym, nie zdolnym do pracy kaleką. Przestał wprawdzie pić i nie bił Jagi ale robić nie mógł i na nią spadł cały ciężar utrzymania siebie i żywienia kaleki, który w najmniejszej nawet części nie mógł dopomódz jej w dźwiganiu tego ciężaru. Nie długo to jednak trwało.

Organizm chłopa zniszczony wódką, przez tyle lat nędznie odżywiany, wyczerpany upływem krwi, osłabiony operacyą, musiał uledz i zamiast wracać do sił, niknął on coraz bardziej w oczach Jagi, która w krótkich chwilach spoczynku z uczuciem strasznej rozpaczy wpatrywała się w bladą, wychudłą twarz kochanka. Nie traciła jednak na-

tego, co było dotychczas, co jednak nie może zapanować bez poprzedniej rozpaczliwej walki. Że zaś ta walka wisi nad nami, że odwrócić ani ominąć się nie da o tem chyba przekonany każdy, kto w pękaniu pączków na drzewach widzi coś więcej niż to, że po zimie wiosna nadchodzi.

Przykrem to może ale prawdziwem niestety, że wobec tworów poezyi doby ostatniej stoimy najczęściej bez zupełnej świadomości ruchu naszego poczucia piękna, że po prostu nie wiemy, co się nam podoba lub co nam się brzydkiem wydaje. „Albo ż ja wiem" brzmi nasz sąd, jeżeli mamy odwagę być szczerymi: „to piękne" albo „to brzydkie" mówimy dlatego najczęściej, że to ktoś już przed nami powiedział, a często z przed tak zwanego pięknego dzieła sztuki odchodzimy bez żadnego podrażnienia, któreby nam sprawiało przyjemność. Odchodzimy zupełnie takimi jakimiśmy przyszli, nie pytając się, bo nie mamy odwagi zapytać, dlaczego to lub owo „piękne" nam się właściwie nie podoba, a raczej żadnego na nas nie wywiera wrażenia.

Kto wreszcie ma odwagę o to się zapytać, komu stać myśli na szukanie przyczyn, ten staje przed zagadką na pierwszy rzut oka nierozwiązalną. Czyżbyśmy byli inni niż nasi poprzednicy, którzy posiadali jasno określone poczucie piękna. Nie — myśmy z tego samego materyału co oni a więc i piękno odczuwać musimy, tylko, że nam co innego pięknem się wydaje. Czujemy, że nam czegoś innego potrzeba, a nie umiemy powiedzieć czego, podczas gdy oni, ci o jasnych na piękno poglądach, powiedzieć umieli. Więc rozpacz nas chwyta, żeśmy dla siebie tak niezrozumiali, potępiamy własne, niejasne upodobania i wstydzimy ich się w w końcu, by uledz, choćby na oko temu, co powiedziane bez żadnej osobistej krytyki treści tego powiedzenia.

Głupstwo i jeszcze raz głupstwo. Wszakżeż my jeszcze młodzi wraz z naszymi upodobaniami. Gdzie mieliśmy czas do sformułowania tego u nas nad czem oni u siebie wieki pracowali. Wiemy, że nam się co innego podoba, więc bądźmy szczerymi i przyznajmy to głośno, pracujmy nad zdefiniowaniem naszych przeczuć niejasnych, a kto szuka ten znajdzie z pewnością. Już sama świadomość tego jest połową zwycięzkiego wyjścia z błędnego na pozór koła.

Zlęknie się może niejeden widma zniszczenia tych wszystkich form, które przywykł był aż do chwili rzetelnego swego uświadomienia uważać za nietykalne i święte, zniknie i umknie tam napowrót gdzie wprawdzie nie znajdzie rozkoszy, ale znajdzie spokój . . . spokój. Takiego nie szkoda nam młodym, bo w nim już a priori nie było materyału na pioniera przyszłości. To albo utylitarysta albo bezrozumny fanatyk, albo co najczęściej się trafia, tchórz najlichszego kalibru. Tyle już bogiń, bożków i bogów nawet, umarło a świat ostał się przecież niezdruzgotany dotąd piorunami ich zemsty niebieskiej; więcej ich jeszcze zginie, a świat i ludzie stać będą wiecznie ci sami, choć inne będą ich cogi.

Dziś nam się życie rozbiło na setki tysięcy cząsteczek; uniwersalność stała się bezsensem wobec naturalnego dążenia do specyalizacyi we wszystkich kierunkach. Stosunki rozbite na pył a zmuszane mimo to do harmonijnego działania, skupiają się w coraz to bardziej powikłane węzły, czyniąc je dla specyalistów trudnymi do rozwiązania. Życie przybrawszy z biegiem czasu tysiące barw nowych mieni się niemi zmieniając swój zewnętrzny, dla oka pochwytny charakter i tworząc obraz do dawnych zupełnie nie podobny.

Poeta kroczy przez życie a wzrok jego zmuszony sięgać w olbrzymie i drobne jego przejawy, musi się pozbyć tej jednostronności widzenia, jaka dawniej mogła wystarczać. Oko jego czułem być musi

---

dziei, że go zdoła uratować i ze szalonem lekceważeniem własnych sił i zdrowia pracowała całymi dniami i nocami, żeby tylko zarobić dla niego na zdrowszą i pożywniejszą strawę od zwyczajnej, w nadziei, że w ten sposob powstrzyma ulatujące siły i oddali chwilę nieuniknionej katastrofy. Długie miesiące trwała ta walka śmierci, pragnącej zabrać człowieka, z kobietą, która broniła swojej własności. Jaga nadszarpnęła mocno swoje własne zdrowie ale życia Michała uratować nie mogła. Jej rumiane, pełne policzki zapadły się, oczy świeciły gorączkowym blaskiem, zgarbiła się pod ciężarem zgryzot i dźwiganej na barkach pracy. Pewnego dnia, a rok już prawie dochodził od powrotu Michała ze szpitala, spostrzegła ona, że rumieńce jakie choroba wypiekła na jego twarzy zaczynają blednąć, oddech słabnie i . . . . i w kilka godzin później, krótki, przeraźliwy krzyk bolu oznajmił ich sąsiadom, że w mieszkaniu kaleki stało się coś nadzwyczajnego.

Jedno życie ludzkie zgasło jak świeca zdmuchnięta powiewem wiatru.

Nie płakała, nie zawodziła, ale spokojna, zimna, skamieniała z bolu stała nad grobem, do którego włożono ciało człowieka, co ją męczył, bił i poniewierał, a którego ona jednak kochała tak mocno, że nie mogła teraz, kiedy jego nie stało, zrozumieć jak ona żyć będzie pozbawiona widoku tej ukochanej twarzy człowieka, który nic a nic nie zasługiwał na jej miłość.

Mówiono do niej, nie słyszała; usiłowano pocieszyć, nie rozumiała słów. Jedna z kobiet szarpnęła ją silnie za ramię ciągnąc za sobą.

— Chodźta! Nie macie znowu co tak sumować moja Michałowa. Nie mieliście wy ta życia z nim: o nie! Wiadomo, nie wesoła to rzecz pracować babie na chłopa co se inoleży i nic nie robi.

Zmierzyła mówiącą spojrzeniem pełnem pogardy odwróciła się ze wstrętem i odeszła. Nędzna wychudła, zgarbiona..... wielka bolem, co jej serce targał jak wpierw, wielką była miłością i poświęceniem.

Dopiero kiedy znalazła się w swojej izdebce sama, opuszczona przez tego brutalnego tyrana, który był dla niej wszystkiem na świecie, oczy jej zaszły łzami, a pierś podniosła się cichem a strasznem łkaniem, które wstrząsało jej wątłą, wynędzniałą postacią.

* * *

na migotliwość wszystkich barw i świateł i oddawać je zupełnie szczerze tak, jak je samo przyjęło. W wędrówce po drogach życia widzi on jak, dawniej proste lub lekko tylko zagięte, wiją się teraz i plączą jakby bez żadnej myśli i systemu zmieniając tem samem w podstawach charakter jego obrazu. Czy zaś na bliższej utknie przeszkodzie, czy też siły mu starczy do głębszego wejrzenia w tajnie życiowe, to już rzecz jego talentu. W mniej lub więcej szczerem oddaniu widzianego leży też wartość dzieła poetyckiego, a im trafi do więcej serc skomplikowanych dzisiejszych jednostek tem większą jest zasługa, tem obszerniejszym jego talent.

Kto w dziele w ten sposób pojętem znajdzie coś, co mu do przekonania przemówi, ten bez wahania powie, że ono jest pięknem, bo patrząc przez pryzmat duszy poety znajdzie w niem mniej lub więcej rzeczy i dla jego oka przystępnych. Tu najinteligentniejszy czytelnik będzie mógł z zupełną naiwnością przystąpić do dzieła sztuki, bez pytania się siebie samego, czy ono tym lub owym odpowiada estetycznym przepisom. Tu nie potrzeba będzie reguł i generalizacyi jednego wypadku, nie potrzeba gwałtownego wydmuchiwania luźnego paradoksu do rozmiarów wiecznotrwałego pewnika. Tu indywiduum - poeta staje przed indywiduum - czytelnikiem i pyta „czy jest w tem mojem dziele cząstka ciebie“, a to kryteryum przystępnem jest dla każdego choćby był zupełnym dzikunem na punkcie estetycznego wykształcenia. Gdy zaś czytelnik inteligencyą o tyle niżej stoi od poety, że dzieła jego nie zrozumie, wówczas najspokojniej w świecie odpowie „nie znalazłem niczego“ i to będzie sądem estetycznym w całem tego słowa znaczeniu, sądem osobistym „subjektywnym“ niemniej jednak lepszym od objektywnej kołowacizny estetyków zawodowych.

Dla tego też nie wstydźmy się tego, że się nam rzeczy z mlekiem mamek jako święte wyssane mniej pięknymi i dobrymi wydają, bądźmy sobą, wierzmy własnym zmysłom, nie lećmy owczym pędem na oślep, a dzieła, które w ten sposób otrzymają sankcyę większości będą mogły rzetelnie uchodzić za piękne.

*
* *

Z teatru.

Po czteroletnich rządach, o których nie będziemy się rozpisywać jedynie przez wzgląd na zasadę *de mortuis nil nisi bene*, złożył p. Schmitt berło dyrektora teatru w ręce znanego u nas pisarza scenicznego p. Zygmunta Przybylskiego. Już samo sympatyczne, niemal owacyjne przyjęcie nowego kierownika jest wymowną krytyką dotychczasowej dyrekcyi teatralnej. P. Zygmunt Przybylski, który bez kwestyi ma pewne kwalifikacye w nowym swoim zawodzie, a o dalszych będzie nas mógł w przyszłości przekonać, zainaugurował swe rządy wprowadzeniem polskiego repertoaru, który stał dotąd na szarym końcu. Pięciokrotne przedstawienie „Kościuszki“, związane bardzo szczęśliwie z setną rocznicą bitwy racławickiej, wskazuje, że scena lwowska będzie miała odtąd charakter przeważnie polski, nie kosmopolityczny.

W poniedziałek 10go odegrano na naszej scenie po raz pierwszy dwie nowe komedyjki jednoaktowe, z których żadna nie miała wybitnego powodzenia. Fraszka sceniczna śp. Wł. Koziebrodzkiego „Podczas polowania“, posiada wszystkie cechy utworów tego pisarza, który wyjąwszy kilku udatnych drobnostek, był w większych komedyach jak „Nauczycielka“ płytkim i spaźniającym się z pomysłami, już przez kogoś innego wyzyskanymi, w małych zaś, jednoaktowych obrazkach do znudzenia banalnym. Ostatnia komedyjka streszcza się w tem, iż młody zapalony Nemrod ma do wyboru: kobietę, którą kocha i pasyę do polowania, bez którego nie rozumie egzystencyi. Walczy z sobą i namonologowawszy się do syta rzuca strzelbę a klęka przed swoją boginią, która nawiasowo mówiąc boi się huku wystrzału a przychodzi mimo to sama jedna do lasu, aby przypatrzyć się polowaniu. Ładną jest tylko scenka, w której Nemrod (doskonałym był w tej roli p. Trapszo) z jednej strony poddaje się już urokowi pięknej kobiety a z drugiej elektryzowany odgłosem trąbki myśliwskiej porywa co chwila strzelbę, by nie przepuścić zwierza.

Jednoaktówka panny Ireny Mrozowickiej nosi tytuł „Uroki“. Mimo pokrewieństwa nagłówków nie ma tu bynajmniej suggestyi i hypnotyzmu, jak w komedyi Sarneckiego. Po prostu młoda i aż do zbytku naiwna dziewczyna chcąc sobie pozyskać serce swojego ideału, daje mu wypić z herbatą przyrządzone jakieś tam ziele. Motyw, co prawda, trochę nie na swojem miejscu, bo trudno przypuścić, aby w inteligentnym domu ktośkolwiek, nawet naiwna Wandzia, wierzyła w podobny zabobon. Owóż rzecz się tak składa, że ten ideał, na którego parol zagięła sobie zabobonna panienka, nudzi się i szuka pozoru, aby się wymknąć. Udaje zatem nagły atak migreny, który podsuwa panience myśl, że go niebacznie otruła. Zrozpaczona wyznaje mu swoją zbrodnię, przyczem oczywiście wychodzi na jaw *nervus rerum* tj. miłość dla otrutego młodzieńca. Dla zupełności są i zaręczyny.

Jest w komedyjce p. Ireny Mrozowickiej przedewszystkiem coś z rutyny scenicznej, która wróży dobrze o dalszych utworach, gdyż zaznaczyć trzeba, że „Uroki“ są dopiero drugą próbką sceniczną tej autorki. Jest dalej niezły wcale humor, dużo świeżości w postaciach, zresztą nie nowych, trochę komedyopisarskiego nerwu, a to wszystko razem stanowi już pokaźny zadatek na przyszłość. W „Urokach“ grała bardzo pięknie pp. Siemaszkowa i Gostyńska. Figura młodego lekarza, który z powodu niepokaźnej powierzchowności „nie wzbudza zaufania“ u pacyentek, miała reprezentować w sztuczce żywioł komiczny, ale nie zupełnie udała się. Grał ją doskonale p. Walewski.

Po długiej, bo 11-stomiesięcznej przerwie usłyszeliśmy w składanem przedstawieniu na cel dobroczynny znakomitą naszą primadonnę panią Maryę Pawlików Nowakowską. Oceniając śpiew tej artystki po tak znacznej pauzie, przedewszystkiem stwierdzić należy znaczne wzmocnienie głosu, który nabrał wię-

kszej jeszcze giętkości i dźwięczności, niż dawniej a zachował te wszystkie niepospolite zalety, które spiewaczkę naszą wyniosły na piedestał rozgłosu i wziętości. To też zebrana w teatrze publiczność hucznym aplauzem wyraziła zadowolenie swoje z występu znakomitej artystki. Pani Nowakowska wywdzięczyła się za owacyjne przyjęcie wykonaniem dwóch aryj z „Halki“ i „Żydówki“, w których roztoczyła całe bogactwo swojego pięknego głosu. Co za szkoda, że aby usłyszeć w teatrze spiewaczkę tej miary, mieszkającą stale w naszem mieście, potrzeba było aż dobroczynnych celów!

Nowa dyrekcya teatralna manifestuje na każdym kroku swoje czucie z życiem literackiem i artystycznem naszego kraju. Onegdaj zasłużony pisarz dramatyczny, p. Sarnecki obchodził jubileusz dwudziestopięcioletni Z racyi więc tego jubileuszu dyrekcya teatru lwowskiego urządziła przedstawienie znanej komedyi Sarneckiego „Urocze oczy“ i raut na cześć jubilata. Nie obyło się bez epizodu humorystycznego. Jednym z punktów programu było wygłoszenie wierszyka okolicznościowego przez poetę Rodocia. Wiersz porównywał scenę lwowską do statku, o który uderzają bałwany ze wszystkich stron. „Lecz gdy srogi bałwan ustąpił, przyszła wspaniała cisza“ brzmiał mniej więcej wiersz. W tem miejscu szmer przeszedł zebranie i „Schmitt, Schmitt!“ rozeszło się po sali. Było to dobitne skrytykowanie dotychczasowego kierownictwa sceny.

Kronika powszechna.

Z 3-cim numerem obejmuje wydawnictwo „Kroniki“ p. Hieronim Topolnicki, który ją też podpisywać będzie jako odpowiedzialny redaktor.

Z literatury. Narzekamy na jałowość galicyjskiego gruntu, na którym żadne poważne przedsiębiorstwo literackie się nie udaje, gdyż po kwartale robi klapę. Cały szereg dobrych pism jak rząd meteorów przesunął się na horyzoncie lwowskim i zgasł. *Ruch, Przegląd społeczny, Tydzień*, a ostatnich czasach *Myśl* i *Nasza sztuka*, pisma, które mogły naprawdę przyczynić się do rozwoju intelektualnego czytelników, uschły na suchoty finansowe. Jak sobie wobec takich faktów wytłómaczyć istnienie całej plejady różnoperyodycznych pism i pisemek, redagowanych z wprawą studenta z niższego gimnazyum, a mimo to wegetujących od szeregu lat? To tajemnica czysto galicyjska. Od lat siedmnastu już wychodzi „literacki“ rocznik... w Samborze. Człowiek, który tego cudu dokazał, że potrafił przez taki olbrzymi przeciąg czasu utrzymać wydawnictwo swoje, nazywa się Gothilf Kohn. Prosimy wziąć do ręki choćby ostatni „rocznik“ z pod redakcyi tego pana. Przysłowie o cierpliwości papieru nasuwa się gwałtownie na myśl, a czytelnik zdumiony zapytuje siebie, jakich szanowny literat samborski posiada czytelników, że pozwolą co roku urządzać sobie *prima aprilis* za guldena i osiemdziesiąt centów! Na niby nie zdało się „rozbierać“ arcydzieła samborskiego rocznika. Sami wielcy autorowie i same perły talentu. Ale jakim cudem wydawnictwo, którego najlepsze artykuły prozaiczne nie przewyższają co do wartości zwykłych zadań szkolnych, a wiersze należą z małym wyjątkiem do kategoryi „karmelkowych“ zdołało przez lat 17 wytrwać u wyłomu na niewdzięcznym gruncie galicyjskim! Rozpisujemy konkurs na to pytanie.

Z prasy prowincyonalnej. W ostatnich dniach powstały dwa nowe pisma prowincyonalne: *Gazeta Samborska* w Samborze i *Głos podolski* w Tarnopolu. Prasa prowincyonalna u nas w Galicyi nie stoi na zbyt wysokim stopniu, w każdym razie nie tak, jak u zachodnich sąsiadów naszych, gdzie każde prawie 20 tysiączne miasto ma swoje organa, częstokroć codzienne. Z galicyjskich miast żadne na dziennik jeszcze się nie zdobyło, jedynie Kołomyja i Przemyśl wytworzyły sobie lokalne organa zbliżone najbardziej do pism codziennych, bo wychodzące dwa razy tygodniowo. Z tych *Gazeta Przemyska* prosperuje już od lat 7, a od czasu jak redakcyę objął p. W. Reger jest to jedno z najlepiej redagowanych pism w kraju. Ogółem mamy w Galicyi pism prowincyonalnych 10.

Bastówki. W Alt-Gersdorf w Saksonii bastują szewcy. W Wiedniu robotnicy gazowi (2000) i kamieniarze. W Zurychu cieśle, murarze, szewcy i krawcy (żądają 9 godzin pracy i oznaczenia minimum pracy). W Kopenhadze kowale (domagają się zniesienia płacy w niedzielę i ograniczenia czasu pracy od godz. 6 rano do godz. 6 wieczór). W St. Etienne bastują górnicy 1800 (żądają podwyższenia płacy) bastują tam także robotnicy ziemi, woźnicy i majtkowie.

Rocznice. Ludwik Büchner, autor sławnego dzieła „Siła i materya“, sławny przyrodnik, czynny około rozszerzania i ustalenia materyalistycznego poglądu na przyrodę, obchodził w tych dniach 70 rocznicę swych urodzin.

Zmarli. W Paryżu zmarł w 26 r. życia Ludwig Laveaux, znakomity artysta malarz, plenerzysta. Pobierał naukę w krakowskiej akademii sztuk pięknych a następnie w Paryżu. Obraz jego „Paryż w nocy“ podobał się bardzo w Paryżu, Krakowie i Warszawie. Zmarły pochodził z Królestwa polskiego. W Krakowie zmarł Włodzimierz Łuskina bardzo zdolny malarz i literat. Brown Sequard, słynny fizyolog, zmarł w Paryżu.

Ze sztuki. Zaszczytnie znany rzeźbiarz p. Stanisław Roman Lewandowski ukończył w tych dniach wielką płaskorzeźbę przedstawiającą „Matkę Boską z dzieciątkiem Jezus“, którą ustawiono w kościele parafialnym w Bucniowie w pow. tarnopolskim. Dzieło to wykonane w kamieniu bucniowskiem na zamówienie p. Teodora Serwatowskiego, odznacza się bardzo dobrem wykonaniem. Szczególniej głowa Matki Boskiej otoczona aureolą ma rysy prześliczne.

NADESŁANE.

Odprawa dla czasopisma aptekarskiego.

Od magistrów farmacyi otrzymujemy następujące pismo:

Magistrowie farmacyi podali petycyę do Rady państwa o poprawę doli.

Czasopismo aptekarskie, pismo wydawane przez pryncypałów, a pisane przez płaconego za to magistra farmacyi rzuciło się wściekle na petycyę. Nie dziw, że jadem swej wściekłości obrzucić pragną farmaceutów pryncypałowie, przywykli do sutych korzyści z cudzej pracy, nie dziw, że im nie w smak dość dziwna u nas solidarność magistrów, którzy wyjąwszy kilku tchórzów i sobków jak jeden mąż w obronie swego istnienia stają. Ale dziwna rzecz, że farmaceuta może się zdobyć na tak dzikie argumenta, jak te, którymi żądania kolegów zwalcza.

W Węgrzech i w ubogiej Kroacyi może ustawa nakazywać, aby na 4000 mieszkańców była apteka, u nas nie — bo aptekarze mieliby mniej dochodu i nie mogliby tak dobrze swego redaktora kupnego płacić? Bez obawy — bo wszyscyby się na to składali — i suma wyjdzie ta sama.

Nieuczciwą drogą doszli aptekarze do prawa sprzedawania koncesyi, przelewania ich na innych — cóż dziwnego, że się tę nieuczciwość chce usunąć — ale tego broni czasopismo towarzystwa pryncypałów — bo to ich interes.

Żony aptekarzy nie są uzdolnione do prowadzenia aptek, farmaceutom chleb odbierają, ale to farmaceuty płatnego nic nie obchodzi, jego obchodzi interes tych, którzy mu płacą za pisanie. Nieprawnie sprzedaje się koncesyę — zabraniają to wyraźnie przepisy ustawy — panowie znaleźli sposób obejścia tego przepisu — brońmy panów pryncypałów, bo płacą!

Aptekę realną może posiadać niedołęga umysłowy i fizyczny — bo on ma pieniadze, zapłaci za obronę — więc broń go panie pismaku płatny!

Ruina grozi przez postulaty farmaceutów rodzinom pryncypałów, ruina w imaginacyi tych, co bodaj 10 tysięcy na chleb potrzebują — ale że setki farmaceutów dla dobrego i wspaniałego bytu kilkudziesięciu panów żyją bez jutra, bez wolności, bez wytchnienia pracują aż do zniedołężnienia, co to panów pryncypałów obchodzi.

Żądają od nas, byśmy tylko skromni byli w życzeniach — uczuciem ludzkości się kierowali — ale sami — sami bez zastanowienia wyzyskują pracujących i ani krzty nie ustąpią dobrowolnie. Ale czasopismo przez nich płacone — ich broni!

Tym kolegom, którzy z nami są jednej myśli i przychylni naszej czynności przesyłamy niniejsze ogólne sprawozdanie rachunkowe:

Zebrano złr. 101. 5 ct. Wydano na ułożenie, druk, papier petycyi, na korespondencyę, przesyłkę i wysłanie petycyi oraz drobne wydatki fl. 76. Na dalsze wydatki pozostaje fl. 25, 5 ct.

Magistrowie farmacyi.

Korespondencye Redakcyi.

P. B. S. we Lwowie. W odpowiedzi donosimy Panu, że Fryderyk Nietzsche pochodzi rzeczywiście z polskiej rodziny Nieckich. Jeden z protoplastów filozofa osiadł w Niemczech około roku 1715. Życzeniu P. stanie się zadość. Część literacką znacznie rozszerzymy i w jednym z następnych numerów zamieścimy obszerniejszą wzmiankę o Nietzschem.

P. Z. R. w Samborze. Dziękujemy za życzenia.

P. F. N. we Lwowie. Praca poszła do kosza, gdyż nie przedstawia jako przeróbka rozprawy Lou Andreas Salome „Realismus in der Religion“ z III. rocznika Freie Bühne żadnej wartości.

OGŁOSZENIA.

Drukiem Ed. Ostruszki. Lwów, Sykstuska 10. Odpowiedzialny redaktor Ed. Ostruszka.